

PIOTR STRZEŻYSZ

SEN POWROTU



Bezdroża

Tekst: Piotr Strzeżysz

Fotografia na okładce: Piotr Strzeżysz

Redaktor prowadzący: Paweł Sondej

Redakcja: Agnieszka Szmuc

Skład: Dawid Kwoka

Projekt okładki: Jan Paluch

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawnictwo Helion dolożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Autor i Wydawnictwo Bezdroża dziękują Wydawnictwu Nasza Księgarnia za zgodę na wykorzystanie fragmentów polskich wydań książek Tove Jansson.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<http://bezdroza.pl/user/opinie/?besepo>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I

ISBN: 978-83-283-1944-8

Copyright © Piotr Strzeżysz, 2016

Copyright © Helion, 2016

PIOTR STRZEŻYSZ

SEN POWROTU

Kup książkę

Poleć książkę



Rozdział pierwszy

Któregoś wczesnego ranka w Dolinie Muminków Włóczykij obudził się w swoim namiocie i poczuł, że nadeszła jesień i czas ruszać w drogę. Taki wy-marsz jest zawsze nagły. W jednej chwili wszystko się zmienia, temu, kto odchodzi, zależy na każdej minucie, szybko wyciąga namiotowe śledzie i gasi żar, zanim ktokolwiek przyjdzie przeszkadzać i wypytywać, i zaczyna biec, w biegu zarzucając plecak, i wreszcie jest już w drodze, raptem spokojny niczym wędrujące drzewo, na którym nie rusza się ani jeden liść.

T. Jansson, *Dolina Muminków w listopadzie*

Dom. Niemalże całą przestrzeń kuchni wypełnia drewniany, jasno-brązowy stół. Nisko, prawie nad samym blatem, wisi lampa. Szeroka jak rondo meksykańskiego kapelusza. Rzuca jaskrawe, żółte światło na filiżankę z kawą, porcelanową salaterkę z owocami i kilka nierówno pokrojonych kromek razowego chleba. Nad filiżanką unoszą się mikroskopijne kropelki pary wodnej. W ostrym świetle lampy wyglądają jak falująca ławica srebrzystych rybek.

Zza stołu widać przeszklone drzwi zajmujące prawie całą ścianę. Drzwi są zamknięte, a ponieważ jest noc, nie wiadomo, jak silnie światło zalewa pokój w ciągu dnia. Łatwo sobie wyobrazić, że bardzo. Cała

Kup książkę

Poleć książkę

kuchnia topi się wtedy w barwach, tonie w kolorach, płąsa niby w tańcu wraz z rozsiadającymi się bez zaproszenia promieniami słońca.

Aksamitna czerń na kilkanaście godzin poddaje się dyktatowi światła, a z ciemności powoli wyłaniają się kształty przedmiotów, jeszcze pozbawione wyraźnych konturów, śpiące w półtonach nieśpiesznie jaśniejących barwnych plam. Najpierw wpełza światło jasnożółte, lekko przezroczyste, przesycone chłodem poranka, nieco wilgotne, pełne orzeźwiającej bryzy przywianej z nieodległego morza mocniejszym podmuchem wiatru. Potem w przestrzeni mości się światło cieplejsze, pociągnięte miotłą dozorczy razem z chodnikowym pyłem, wymieszane z pojedynczymi akordami budzącej się ulicy: szczekaniem psa, klakso-nem przejeżdżającego autobusu, nienaoliwionym zamkiem otwieranego garażu sąsiada. Około południa rozkokoszą się barwy-przekupki: ciepłe, głośnie, soczyste, paradujące z rozmachem pośród zupełnie już zalanych słońcem ścian. Po czternastej do kuchni wejdzie Marta, potem jej mąż Chris wraz z dziećmi, Mają i Sarą, a nad tym wszystkim, gdzieś pod sufitem, będą tańczyć słowa.

Jest początek maja dwa tysiące czternastego roku. Dochodzi dwudziesta druga, a ja kończę pakowanie sakw, które wraz z rowerem od ponad siedmiu miesięcy czekały na mnie w garażu znajomych, na przedmieściach znajdującego się w amerykańskim stanie Oregon miasta Portland. Kiedy w listopadzie dwa tysiące trzynastego roku wracałem do Polski ze złamaną ręką, jeszcze nie wiedziałem, na jak długo zostawię w Stanach wszystkie rzeczy. Chociaż nie do końca zdawałem sobie sprawę z tego, jak poważne jest to złamanie i jak długo będzie trwać leczenie, a potem rehabilitacja, było dla mnie oczywiste, że do Polski wracam na przysłowiową chwilę, a czas, który mam spędzić w kraju, będzie po prostu kolejną przerwą w przedwcześnie zakończonej podróży. Podróży zaplanowanej na dziesięć miesięcy, a będącej drugą już próbą przejechania rowerem trasy z miasta Anchorage na Alasce do leżącego na południowym krańcu Patagonii miasteczka Ushuaia.

Ten wyjazd chodził mi po głowie w zasadzie już od dzieciństwa. To, że wybiorę się do Ameryki na rowerze, było oczywiste, gdyż od najmłodszych lat stanowił on dla mnie najnaturalniejszy pod słońcem środek transportu, pozwalający na swobodne przemieszczanie się w możliwie dostępnej, fizycznej przestrzeni. Ze zrozumiałych względów przestrzeń ta rozszerzała się bardzo powoli. Początkowo ograniczał mnie wiek i brak wystarczających środków finansowych, potem bardzo trywialne, acz trudne do uniknięcia obowiązki typu studia, praca, dom i rodzina, czyli wszystko to, co większości ludziom uczulonym na zbyt długie przebywanie w jednym miejscu zazwyczaj przeszkadza wyruszyć w drogę.

Pierwszą próbę przejechania drogi z Alaski do Patagonii podjąłem w dwa tysiące jedenastym roku. Niestety, nie dotarłem nawet do Meksyku. Przepedałowałem ponad sześć tysięcy kilometrów i z Las Vegas wróciłem do Polski. Dlaczego? Bo tęskniłem. Brzmi banalnie? Nie przeczę. W najbanalniejszy sposób na świecie na miesiąc przed wyjazdem zakochałem się i żadna podróż nie mogła mi wtedy zastąpić obecności drugiej osoby. Po trzech miesiącach wróciłem do domu i jeśli przez następne dwa lata gdzieś podróżowałem, to głównie w wyobraźni.

A potem? Potem było jeszcze bardziej banalnie. Banalnie, a co gorsza, bardzo przewidywalnie. Tego uporczywego, dochodzącego gdzieś zza okna wołania, będącego najpewniej jakimś psychicznym skrzywieniem, nie dało się na długo zagłuszyć. Coraz silniej i wyraźniej budziło się we mnie pragnienie powrotu, a wewnętrzny niepokój tylko się pogłębiał. Musiałem spróbować raz jeszcze. Musiałem wyjechać, bez względu na koszty. A kto wie, czy nawet nie ze świadomością ceny, jaką poniosę za swój wybór.

We wrześniu dwa tysiące trzynastego roku ponownie polecałem na Alaskę. Z ogromną determinacją, pewnością siebie i zawziętością, a jednocześnie niepewnością, czy to, co robię, jest słuszne. I znów się nie udało. Nie dotarłem nawet do Las Vegas, choć tym razem to właściwie

nie ja zdecydowałem o przerwie w podróży. Po przejechaniu czterech tysięcy kilometrów w kuriozalnych okolicznościach spadłem z roweru i upadłem na betonową drogę, łamiąc przy tym kolanową rzepkę. Po siedniomiesięcznej przerwie i przebytej w Polsce rehabilitacji, ze zrośniętym, choć nie do końca zaleczonym kolanem, w maju dwa tysiące czternastego roku ponownie przyleciałem do Stanów, aby kontynuować podróż na południe².

2) Zainteresowanych relacją z poprzedniego wyjazdu odsyłamy do książki *Powidoki* autorstwa Piotra Strzeżysza.

Rozdział drugi

Była późna jesień. Włóczykij szedł dalej na południe, lecz co jakiś czas rozstawiał namiot i pozwalał dniom mijać, jak chcą, chodził sobie i przyglądał się różnym rzeczom, nic nie myśląc i nic nie pamiętając, i dużo spał. Zachowywał ostrożność, ale niczym się właściwie nie interesował i nie obchodziło go, dokąd idzie – chciał tylko iść dalej.

T. Jansson, *Dolina Muminków* w listopadzie

Zauważyłem go kilka kilometrów za Kingman, niewielkim miasteczkiem leżącym w amerykańskim stanie Arizona. Maszerował w tym samym kierunku, co ja, tyle że posuwał się trochę szybciej. Nie patrzył na mnie. Miał na sobie jasną koszulę i ciemne spodnie, a na głowie czapkę z daszkiem. Nie niośł żadnej torby, plecaka, niczego, co zdradzałoby powód tak długiego i skądinąd dziwnego spaceru. Stanąłem na chwilę, zdziwiony, przypatrując się lekko pochylonej postaci, wyglądającej jak sztafaż w zbyt monotonnym krajobrazie, którego jednostajności nie urozmaicały ani przejeżdżające ośmioosiowe ciężarówki, ani widoczne daleko na horyzoncie, zszarzałe w świetle zapadającego zmierzchu kamieniste wzgórza.

Co ten człowiek tutaj robił? Wracał z pracy do domu? Czyżby mieszkał gdzieś w okolicy? Na środku pustyni?! No, ale jeżeli rzeczywiście gdzieś pracował, to na pewno posiadał samochód. Dlaczego zatem

Kup książkę

Poleć książkę

nim nie jechał? W Stanach bez samochodu żyją tylko członkowie partii zielonych i bezdomni. Tyle że ten mężczyzna zupełnie nie przypominał typowego włóczęgi, jakich często spotykałem w trakcie podróży. Nie pasował do wizerunku zaniedbanego wagabundy zbierającego zalegające na poboczu puszki czy butelki, ciągnącego za sobą cały dobytek w postaci wózka lub choćby roweru objuczonego reklamówkami, siatkami, torbami, tekturowymi pudełkami i grubym, zwiniętym w rulon pledem, który ochroni przed porannym chłodem na pustyni.

Patrzyłem na niego jeszcze przez chwilę, aż zniknął za zakrętem, po czym wróciłem do pchania roweru po syrkim piasku. Było to zajęcie na tyle zajmujące i pochłaniające całą moją uwagę i siły, że za moment o dziwnym mężczyźnie w czapce zupełnie zapomniałem.

Od ponad dwóch godzin posuwałem się na wschód wzdłuż Interstate 40, wypatrując w ogrodzeniu dziury, przez którą mógłbym wreszcie przedostać się na autostradę. Pomyślałem, że po opuszczeniu Kingman ominą czteropasmówkę i pojechać poprowadzoną na południe od niej boczną drogą, okazał się zupełnie nietrafiony, chociaż przez pierwsze kilometry rzeczywiście jechało się łatwo i przyjemnie. Nie musiałem znosić towarzysztwa ogromnych, trąbiących na mnie ciężarówek i tłumaczyć zaalarmowanym przez uczynnych kierowców policjantom z drogówki, że nie, nie ma innej drogi prowadzącej do Phoenix, że nie wiem, dlaczego jadę rowerem, a nie samochodem, i że nie będę nadrabiał kilkudziesięciu kilometrów tylko po to, aby popedałować odcinkiem legendarnej Route 66, która i tak nie doprowadzi mnie do dziewięćdziesiątki piątki.

Rowerowa ekstaza nie trwała zbyt długo. Po kilku kilometrach gruby żwir ustąpił miejsca piaszczystem muldom, po których mogłem jedynie iść, bo jechanie po syrkiej nawierzchni okazało się niemożliwe. Początkowo myślałem, że piasek szybko się skończy albo droga doprowadzi mnie w końcu do autostrady, ale jak na złość, nie tylko się do niej nie zbliżała, wręcz przeciwnie, odbijała nieco w stronę widocznych na południowym wschodzie skalistych wzgórz.

Nie chciałem zawracać do miasta. Postanowiłem iść na przełaj i przedostać się do znajdującej się jakiś kilometr dalej autostrady. Kiedy wreszcie do niej dotarłem, okazało się, że wzdłuż drogi poprowadzona jest siatka – na tyle gęsta i wysoka, że nie dam rady wspiąć się po niej z rowerem. Zdjąłem sakwy i próbowałem przerzucić go na drugą stronę. Gdyby mi się udało, z resztą rzeczy nie byłoby już problemu. Niestety, próby przerzucenia mojego jednoślada, jakkolwiek ciekawie musiały wyglądać dla postronnego obserwatora, nie przyniosły spodziewanego efektu. W końcu dałem za wygraną, podpiąłem sakwy z powrotem do bagażnika i rozpocząłem mozolny marsz wzdłuż ogrodzenia.

Kilkanaście godzin wcześniej siedziałem w klimatyzowanym wnętrzu salonu przestronnego domu na przedmieściach miasteczka Kingman, korzystając z gościny Roba i jego partnerki, Kelly. Minął już ponad miesiąc, odkąd opuściłem Portland. Kolano coraz mniej mi dokuczało, a nawet jeśli, to i tak z całą pewnością lepiej pracowało. Zgodnie z przewidywaniami doktora Kurka, lekarza, który zajął się mną w Polsce, delikatnie dodawane obciążenia i stopniowo wydłużane odległości, jakie pokonywałem, pomagały nodze odzyskać pełną sprawność. Uściślając, może nie tyle pełną, ile pozwalającą na jazdę rowerem bez konieczności znoszenia uporczywego bólu i szukania miejsc, w których mógłbym poprosić o lód do schłodzenia nabrzmiałego, spuchniętego od wysiłku kolana. Te zimne okłady i stopniowanie obciążeń były w zasadzie jedynymi zaleceniami, które dostałem od lekarza przed wyjazdem, a których respektowanie okazało się w zupełności wystarczające, bym po miesiącu pedałowania mógł wreszcie przestać przejmować się złamaną ręką rok wcześniej rzepeką.

Roba poznałem cztery lata wcześniej w amerykańskim stanie Kalifornia, nocą, w dość specyficznych okolicznościach, pod koniec trzymiesięcznej podróży z Alaski do Las Vegas. Miała to być moja ostatnia noc spędzona blisko wybrzeża. Nazajutrz planowałem odbić na wschód, w kierunku stanu Nevada. Z powodu wiejącego z południa uporczywego, zimnego wiatru ostatnie dni były bardzo wyczerpujące, podobnie jak

ten, który właśnie się kończył. Kiedy więc wreszcie zsiadłem z roweru pod stapiającym się z nadchodzącą nocą murem okazałego budynku, miałem siłę jedynie na to, aby obejść go dookoła i sprawdzić, obok czego właściwie zamierzam tego wieczora przenocować. Do tej pory sypiałem w najróżniejszych miejscach, począwszy od parkingów dla klientów restauracji McDonald's (oferujących poranną toaletę oraz względnie tanie, potężne i – jakkolwiek tłuste i niezdrowe – to równocześnie bardzo kaloryczne i pożywne śniadanie w ciepłym wnętrzu), poprzez mniej bądź bardziej przytulne rowy, a skończywszy na izbie przyjęć Centrum Leczenia Raka Trzustki.

Budynek, przy którym zatrzymałem się na ostatni na pacyficznym wybrzeżu nocleg, początkowo wziąłem za restaurację bądź niewielki hotel. Zdarzało mi się pytać w podobnych miejscach o możliwość rozbicia namiotu na przylegającym do budynku parkingu lub wśród pobliskich krzaków. Jeśli wyrażano na to zgodę, zwykle proszono mnie tylko o odpowiednią, absolutnie zrozumiałą i pożądaną dla obu stron konspirację. Zapewniałem, że zamaskuję się na tyle skutecznie, by nie stanowić powodu interwencji znudzonych nocnym dyżurem stróżów prawa, poza tym nie odstraszę swoim widokiem potencjalnych klientów czy też, tym bardziej, nie wyrobię w nich nie do końca prawdziwego przekonania, że następnym razem, zamiast płacić pięćdziesiąt dolarów za hotel, niech lepiej wezmą ze sobą namiot i śpią gratis pod cienistymi tujami.

Tym razem nie było najmniejszej potrzeby deklarowania skutecznego kamuflażu. Miejsce, do którego dojechałem, okazało się zamkniętym Muzeum Fauny Morskiej. Obszedłem budynek, licząc na to, że może napotkam ochronę bądź kogokolwiek, kto mógłby udzielić mi pozwolenia na rozstawienie namiotu. Zmierzchało, a ja czułem dyskomfort związany z wychładzaniem się nagle pozbawionego intensywnego ruchu ciała, pogłębiany przez silny wiatr i gwałtownie spadającą temperaturę powietrza. Należało jak najszybciej rozstawić namiot, przebrać się w suche rzeczy i przygotować ciepłą kolację.

Nikt nie odpowiadał na moje nawoływania, uznałem więc, że miejsce jest pozbawione dozoru, a obsługa muzeum najprawdopodobniej pojawi się dopiero z rana. Niedaleko budynku znajdowała się główna droga, ale ruch o tej porze dnia właściwie już zamarł. Dookolny spokój mącił jedynie głuchy poszum rozbijanych o wybrzeże oceanicznych fal. Rozstawiłem przenośny dom, wstawiłem wodę na makaron i pół godziny później leżałem z pełnym brzuchem w ciepłym śpiworze, oddając się powoli w objęcia Morfeusza.

Prawie zasypiałem, kiedy w delikatne brzmienia rezonujących fal wtargnęły chropowate, chrzęszczące odgłosy ciężkich kroków stawianych na grubym żwirze. Wygrzebałem się ze śpiwora, uniosłem głowę i z niepokojem obserwowałem plamy światła przesuwające się po tropiku namiotu. Pelzające, jasne okręgi w końcu zatrzymały się, światło zgasło, kroki ucichły, a w ciszy, która na moment zapadła, wydbrzmiało powitalne:

– *Hello, is anybody there?*

Nieznajomy mężczyzna wziął mnie za pilnującego muzeum ciecia. Przynajmniej tyle powiedział, kiedy otworzyłem suwak i wysunąłem głowę z namiotu. Rob, jak się za moment przedstawił, przebywał na urlopie, a tego wieczoru zmierzał na nocleg do leżącego nieopodal miasteczka. Zatrzymał się obok muzeum, by sprawdzić godziny otwarcia. Chciał zwiedzić je następnego dnia, ale możliwie jak najwcześniej, żeby zdążyć przed wieczorem wrócić do swojego domu w Arizonie. Od pierwszej chwili wzbudził moją ogromną sympatię, dlatego z największą przyjemnością przystałem na propozycję wspólnego obejrzenia tutejszych zbiorów.

Nazajutrz spotkaliśmy się na parkingu, gdzie przeniósłem się skoro świt z rowerem i wszystkimi rzeczami, zanim jeszcze w pobliżu pojawił się którykolwiek z pracowników, nie mówiąc o zwiedzających. Kilka wspólnie spędzonych z Robem godzin, zawdzięczanych zupełnie przypadkowi, zaowocowało znajomością, która trwa do dziś

Kup książkę

Poleć książkę

Oceń książkę



**Księgarnia
internetowa**



**Lubię to!
Nasza społeczność**

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion

Spotkania z drugim człowiekiem, nie mniej poruszające spotkania ze zwierzętami, wreszcie spotkanie z samym sobą i szukanie prawdy o świecie ukrytej między rzeczywistością jak najbardziej fizyczną, namacalną, a tą oniryczną, rozciągającą się gdzieś na pograniczu widzenia i śnienia. Piotr Strzeżysz w swojej najnowszej książce opisuje rowerową podróż przez obie Ameryki, jednak zamiast przewodnikowych opisów znajdziemy tu mieszankę utkaną z wydarzeń, wnikliwych obserwacji i osobistych doświadczeń. Autor maluje, używając słów. Uwodzi, wykorzystując literackie obrazy. Przykuwa, opisując drobiny codzienności definiujące życie. *Sen powrotu* to wciągająca opowieść o byciu w drodze, tęsknocie, marzeniach, ale przede wszystkim o wielorako rozumianym poszukiwaniu: siebie, innych, swojego miejsca i czasu. O okazującym się nagle nierozpoznanemu pozornie rozpoznanemu i rozpoznawaniu nierozpoznawalnego, które ostatecznie i tak nierozpoznawalne pozostanie.

Chociaż milczał, to wszystko dokoła zdawało się mówić za niego. Szeptął wiatr wietrznym powiewem, szemrał potok wodną mową i topola coś wołała topolowym skłonem. Słowa krążyły wszędzie niby niewidzialne ptaki, szybowały w przestrzeni beztroski, w jaskrawym świetle dnia, a potem opadały na ziemię i zamieniały się w drogę, przemieniały się w kolejny krok, a każdy z tych kroków coraz szerzej otwierał się na czekającą za zakrętem możliwość (...)

W oddali, na niebieskim niebie, snuła się wążiutka strużka dymu. Nie wygasilem pieca – pomyślał. Na chwilę zawahał się i zastygł jakby w zamyśleniu, zapatrzeniu, zasnuty obrazem ulatującej z komina szarej mgiełki, wokół której bezgłośnie szybował ptak. Mężczyzna wyciągnął przed siebie rękę, konturem kciuka i palca wskazującego obramował fragment nieba, po czym zacisnął palce i zamknął pożegnanie w swojej dłoni. Na wiotkich gałęziach ciągle szeleściły liście, ale tak lekko, że prawie niesłyszalnie, gdzieś na granicy percepcji, delikatne fłażolety lekko spadające na skąpaną w słońcu ziemię. Z oddali, zza krawędzi wzgórza, niosło się wołanie. Chwilę potem mężczyzna odbił się od ziemi. Była pod nim przestrzeń i wiatr. A potem droga, na końcu której czekał na niego sen.

/fragment książki/

PIOTR STRZEŻYSZ

Od ponad dwudziestu lat realizuje dziecięce marzenie włóczenia się po świecie z rowerem. Odwiedził kilkadziesiąt krajów na pięciu kontynentach. Autor książek: *Campa w sakwach, czyli rowerem na Dach Świata* (2011), *Makaron w sakwach, czyli rowerem przez Andy i Kordyliery* (2012) i *Powidoki* (2014), wydanych nakładem Wydawnictwa Bezdroża. Za *Powidoki* otrzymał dwie nagrody: Magellana i Bursztynowego Motyla im. Arkadego Fiedlera dla najlepszej książki podróżniczej 2014 roku. Książka *Sen powrotu*, którą trzymają Państwo w rękach, powstała na kanwie dziesięciomiesięcznej podróży z Alaski do Patagonii.

Kontakt dla mediów:

Agnieszka Majka | Brand Manager
Grupa Helion SA | Bezdroża

kom. +48 607 311 406

e-mail: agnieszka.majka@bezdroza.pl



Sprawdź najnowsze promocje:
☞ <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
☞ <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
☞ <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Nr katalogowy: **36824**



ISBN 978-83-283-1944-8



9 788328 319448